

Bez DOGMATU

Kwartalnik kulturalno-polityczny (68) wiosna 2006

<http://www.iwkip.org/bezdogmatu/68/>

Katarzyna Nadana

Będiesz rodzić...

Światopogląd religijny przenika w Polsce całą sferę publiczną i w znacznej mierze określa również sferę prywatną. Jest dyskursem jawnym i utajonym zarazem, stał się obowiązującą ideologią. Wyróżniającą cechą tego nowego autorytaryzmu jest jego „oddolny” charakter: daje się poznać nie tylko jako dyskurs władzy, odczuch podchwyciły go „masy”, które przewyższają niekiedy swą pomysłowością zawodowych ideologów.

Przyjrzyjmy się jego działaniu na przykładzie postępującej religijnej ideologizacji medycyny. Władzę „jedynej prawdy” widać szczególnie wyraźnie w szeroko rozumianej ginekologii. Na skutek indoktrynacji państwo wycofuje się z wszelkiej pomocy, jakiej powinno udzielać kobietom w sprawach niezwykle dla nich ważnych: decydowania o własnej dietności. Założeniem restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej, wprowadzonej w 1993 roku, a potem dwukrotnie znowelizowanej miała być powszechna edukacja seksualna i dostępna antykoncepcja. Edukacja ta w szkołach, niewielu zresztą, nie jest na ogół rzetelna i właściwie zniechęca do używania środków antykoncepcyjnych, intensywnie promując tak zwaną „metodę naturalną”, która ma się nijak do osiągnięć współczesnej medycyny, pozwalających skutecznie regulować płodność, bądź z niej zrezygnować. Dostępność antykoncepcji jest zresztą drastycznie ograniczona, zwłaszcza w przypadku młodych kobiet, którym lekarze często odmawiają przepisania pigułek. Dzieje się tak za sprawą „klauzuli sumienia”, podpowiadającego lekarzowi, jakie decyzje życiowe ma podjąć pacjentka. Trudno to wytłumaczyć zwykłym oportunizmem czy też unikaniem sankcji społecznych związanych z podejmowaniem niepożądanych ideologicznie decyzji. Jest to raczej wymowny przejaw narastającej skuteczności rozproszonej, oddolnej katolickiej ideologii. Kontrolę nad płodnością ogranicza przede wszystkim nowa ustawa o refundacji leków – środki antykoncepcyjne nie podlegają refundacji. Pigułka, dość kosztowna, jest więc praktycznie niedostępna dla coraz większej liczby kobiet niezamożnych. Zbigniew Religa, minister zdrowia w obecnym rządzie, uzasadnił decyzję wykreślenia środków antykoncepcyjnych z listy środków refundowanych błyskotliwym argumentem, że „seks nie jest chorobą”.

Obowiązująca ustawa antyaborcyjna dopuszcza aborcję w trzech przypadkach: zagrożenia życia i zdrowia kobiety, uszkodzenia płodu oraz wtedy, gdy ciąża jest wynikiem przestępstwa (gwałt, kazirodztwo). Ustawę tę określono mianem „kompromisu” politycznego, choć doprawdy trudno wskazać, kto miałby to porozumienie zawierać: społeczeństwo i kościół? Kobiety i katolicy? A przede wszystkim, co zyskali na tym kompromisie zwolennicy wolnego wyboru? Charakterystyczne także, że w praktyce kobiety nie mogą skorzystać nawet z tak niewielkiego obszaru wolności, jak ten, który im ustawa pozostawia. Dzieje się to na zasadzie „oddolnego” sabotowania prawa. Nawet w przypadku ewidentnych wskazań utrudnia się i uniemożliwia korzystanie z badań prenatalnych, które mogłyby we wczesnym okresie wykryć uszkodzenia genetyczne płodu, co dawałoby prawne podstawy do aborcji. Społeczeństwo nie ma wielkiego współczucia i zrozumienia dla kobiet, które pragną w takim przypadku oszczędzić swojemu potomstwu złego losu. Pamiętamy, jaka złowieszczą atmosfera towarzyszyła słynnej sprawie państwa Wojnarowskich z Łomży, którym – chociaż pierwsze dziecko było poważnie chore – odmówiono skierowania na badania prenatalne. Po urodzeniu dziecka z poważną wadą genetyczną wnieśli sprawę o odszkodowanie, skarżąc placówkę, która nie wywiązała się ze swoich obowiązków. Nawet tłumaczenie, że uzyskane w ten sposób pieniądze zostaną wykorzystane na kosztowne leczenie i rehabilitację dziecka, nie łagodziło oburzenia moralnych fanatyków. Podobny los spotyka kobiety, które zasadnie podejrzewają, że ciąża zagraża ich zdrowiu. Odsyłane od Annasza do Kajfasza nie mogą uzyskać od lekarzy dokumentów, które pozwoliłyby im wnieść wniosek o aborcję. W feministycznym periodyku Pełnym Głosem opisano przypadek Alicji Tysiąc, która w ten sposób utraciła wzrok – żaden lekarz okulista nie odważył się wydać zaświadczenia, że w jej przypadku donoszenie ciąży zagraża całkowitą utratą wzroku, choć ostrzegano ją przed tym przy narodzinach poprzedniego dziecka. Urodziła piąte, aby – odtąd niewidoma – nie móc opiekować się żadnym dzieckiem. Jej sprawa znalazła się w Strasburgu, bo polskie sądy nie uznały roszczenia o odszkodowanie. W podobny sposób potraktowano Małgorzatę A. z Dąbrowy Górniczej, która zaszła w

ciążę na skutek gwałtu. Kiedy z zaświadczeniem z prokuratury zjawiła się w szpitalu w 11-tygodniu ciąży, „stwierdzono” tam, że ciąża jest starsza i skierowano na dodatkowe badania, po których na ustawową aborcję (do 12 tygodnia) było już za późno. Sąd Najwyższy wydał jednak niedawno orzeczenie, że należy jej się od szpitala i gminy odszkodowanie za poniesione koszty oraz utratę zdolności do zarobkowania. To dobra nowina, zważywszy, że orzeczenie Sądu Najwyższego będzie dla szpitali przestrożą, co stanie się z ich finansami w razie odmowy wykonania ustawowego zabiegu.

Medycyna stała się służką drakońskiej i bezmyślnej polityki prokreacyjnej, przestała się troszczyć o dobro pacjentek, a tym samym sprzeniewierzyła się swoim podstawowym zasadom. Państwo de facto opuściło kobiety, pozostawiając ich życie w rękach przypadku, nazywanego w języku ludzi wierzących „wolą Boga”. Jest to zgodne z logiką kultury patriarchalnej, według której kobieta jest „czystą naturą”, powołaną jedynie do prokreacji, i sprzeciwia się temu powołaniu, gdy domaga się prawa do decydowania o sobie.